

I

Szedł tak cicho, że nie słyszał własnych kroków. Ostrożnie, uważnie. Wystarczyłby jeden fałszywy ruch, jedno przypadkowe trzaśnięcie gałązki, a myśliwy zmieniłby się w zwierzynę. Coś poruszyło się z przodu, w gęstwinie młodych olszyn. Przystanął i nasłuchiwał. Cisza przerywana nocnym rechotem żab. Ten ruch, to nie było to, czego szukał. Znów krok do przodu. Pod stopą grunt stał się grząski. Dalej zaczynało się prawdziwe bagno. To było terytorium bestii, na którą polował.

Muszkiet, dwa pistolety, szabla i dwa długie noże. To powinno wystarczyć, ale nigdy nie wiadomo. Jeśli potwór go usłyszy lub zauważy, jeśli będzie sprytniejszy, może być bardzo źle. Cokolwiek siedziało tam z przodu, z pewnością potrafiło zabijać.

Po kolejnych kilku krokach znów się zatrzymał. Miał już wodę do kostek, a ziemia pod nią wydawała się grubym, miękkim, ale bardzo zdradliwym dywanem. Nieco z lewej coś było słychać. Ciche, ale wyraźne dźwięki dawały się wyodrębnić z naturalnej, nocnej sonaty. Może to rodzina dzików, a może...

Pomógł mu przypadek. Gdy lśniąca pełnią twarz księżycy wyłoniła się zza chmur, stał względnie ukryty za pojedynczą, rachityczną osiką. Zrobiło się zupełnie widno. Stwór był dość blisko, nie dalej, niż czterdzieści metrów. Miejscowi gadali, że to purtk, ale dla nich wszystko, co złe, nawet lichy, to już był purtk. Ten tu, to jakiś upiór bagienny, może ghul, może jakiś utopiec. Trudno stwierdzić dokładnie, bo noc i gałęzie trochę zasłaniały. Siedział na suchym korzeniu wystającym ponad kępę wysokiej trawy i coś obgryzał. To coś, to chyba była ludzka goleń, ale pewności nie było.

Spokojne i ciche naładowanie muszkietu. Niespieszne, ale perfekcyjne wycelowanie. Pociągnięcie za spust. Grzmot wystrzału przetoczył się po trzęsawisku. Srebrna, poświęcona kula strąciła kilka drobnych gałęzi, przycięła pałkę wodną i nie zmieniając trajektorii lotu osiągnęła cel. Potwór dostał idealnie między czerwone oczy. Nie wydał żadnego dźwięku. Po prostu zachwiał się, przechylił i chlapanął w wodę.

Było po wszystkim.

II

- Ależ paskuda! Czegoż to Szatan na ziemię nie pošle dla nękania ludu bożego?

- Ano, paskudne bydle. Aleć ten już szkody nie robi.

- I gdzieś go waszmość dopadł? Przy Kamieniu Diabelskim, tak, jako chłopci radzili go szukać? - Matka przełożona Gertruda mimo targającego nią obrzydzenia, nie mogła spuścić wzroku z truchła potwora leżącego u jej stóp.

- Nie matko. Tam złe miejsce. W czasie pełni, to i dziesięciu takich jak ja, a i lepszych - o ile takowi są gdzieś w świecie - by nie poszło. Ponoć kamień wejście do samych piekieł zasłania...

- Ponoć. Może to bajdy, ale i rzeczywiście, strach tam iść na własnej skórze się przekonywać, a innych nie po bożemu na takie niebezpieczeństwo posyłać. Gdzie, zatem bestja siedziała?

- W Białym Bagnie, nad Piaśnicą. Jeden strzał wystarczył. - Richard van Sink z Helu był dumny ze swojego wyczynu.

- Przysłużyłeś się waszmość klasztorowi, tym ziemiom, a nade wszystko Bogu. Pycha, to grzech, ale za dobre nagradzać się godzi, zatem nagroda i sława cię bohaterze nie minie. Złota mieszek, jak to w zwyczaju jest, już czeka, lecz mam coś jeszcze. Oto jest medalion święty. W połowie ma gryfa - ziemi tutejszej symbol, w połowie krzyż święty. Każden, któremu znak ów okażesz, będzie wiedział, żeś przez klasztor żarnowiecki naznaczon, by diabelskie pomioty, wiedźmy i pogaństwo tępić. Drzwi kościołów i klasztorów zawsze się przed tobą otworzą, a i dwory, choć to pruskie tałatajstwo, też na wieczerzę

przyjmą i pomocy udzielą.

- Ależ matko, niegodnym takich zaszczytów. - Van Sink padł na kolana, lecz przełożona benedyktynek kazała mu powstać.

- Godnyś, godnyś. Kto kobolda z Mechowieckiej Groty wyciągnął? Kto w Pucku południcę pojmał, a w Wejherowie wampira? Czyja sława za granicami Rzeczypospolitej się szerzy, jako pogromcy stworów przeklętych? Richardzie van Sink z Helu, przypomina mi to ostatni odpust. Przybyła tu trupa muzykantów. Była z nimi dziewczyna, wołali na nią Tina. Zgrabna, wesoła, a kudłata, jakby piorun w nią strzelił. Wspominam o niej, bo refren jej piosnki mi w głowie utkwił, a brzmiał on tak: nie potrzebujemy innych bohaterów!;. Tak i ja myślę. Lepszego, do obrony przed Diabłem nam nie trzeba. A przed czym waść nas nie uchronisz, uchroni modlitwa.

- Zaszczyt to dla mnie.

- Zatem służ wiernie. Z Bogiem.

*

- Bělny jachcôrz, bělny jachcôrz!!! - Umorusany chłopiec wygrzebał się spod któregoś ze stojących w pobliżu wozów i podbiegł do van Sinka.

- Do mnie mówisz mały? - Bohater przywitał dzieciaka uśmiechem.

- Jo, bělny jachcôrz. - Chłopak był miejscowy. Obdarty, szczerbaty, ale najgorsze, że mówił w tym dziwnym języku, którego nijak nie szło zrozumieć.

- A po polsku, nie umiesz?

- Trochi umiem. Starszi kazali się uczyć.

- To mów, czego chcesz, ino szybko, bom głodny.

- Ja słyszałem... - Chłopiec wstydlawie spuścił głowę. - Niechący, naprawdę... Słyszałem, że panie jesteście myśliwym, że złe ubijacie. A u nas we wiosce, jinsztë siedzi. Zabija, straszy. Starszi kazali do klasztoru iść, o modlitwę prosić, ale pan jachcôrz, pan pomoże...

- Jinsztë? To znów jakiś purtk albo inna przegrzecha?

- Nié panie. Nié purtk.

- Nie? Toś mnie zadziwił chłopcze. Co zatem, mora?

- Nié.

- Wieszczi, nielôp? - Van Sink z trudem przypominał sobie miejscowe nazwy potworów.

- Nié, panie.

- To może krôśniâ? - Bohater już się trochę zirytował.

- Panie, to wôłk, człowiekwôłk. Pomożecie, jo?

- Jo, mały. Pomogę. Masz jakoś na imię?

- Różnie. Starszi wołają szôtornik, albo gzub, ale najczęściej, to Spytko.

- Świetnie Spytko. Pozwól, że odsapnę nieco, zjem i pójdziemy do twojego wilkołaka.

*

Według słów małego Spytki, jego wieś miała być ze dwie, może trzy godziny marszu od żarnowieckiego klasztoru. Van Sinkowi nie spieszyło się za bardzo, więc przed podróżą zdążył się godnie najeść i napić. A i na drogę nie zabrakło pokaźnego bukłaczka z klasztorным półtorakiem. Młodzi bohaterowie walczący z potworami, poszukiwacze przygód wychwalani w balladach za swoje męstwo i szlachetność, z reguły mieli to do siebie, że lubili się dobrze zabawić, a ich wprawa w osuszaniu kielichów dorównywała tej w robieniu szabłą. Richard van Sink z Helu też lubił dobrze wypić i może dlatego wędrówka bardzo się dłużyła.

Konia nie wzięli - bo raz, że blisko, a dwa, że na bagnach nie bardzo by się przydał. Pozostał marsz, a nogi nieustraszonego bohatera wczesnym wieczorem, całkowicie odmówiły posłuszeństwa. Spytko nalegał, żeby dotrzeć do wsi przed zmierzchem, ale nic nie mógł począć. Van Sink zaległ pod rozłożystym dębem i zaczął chrapać.

Niby, miejsce wydawało się bezpieczne, w pobliżu traktu łączącego klasztor z pałacem von Krockow, jednak Spytko bał się. Tak naprawdę odległość do klasztoru była taka sama, jak do owianego złą sławą diabelskiego kamienia. Purtk, czy jakiś jego wysłannik z pewnością mógł się napatoczyć, a pijany w sztok van Sink raczej niewiele mógłby wtedy poradzić. Chłopiec przez jakiś czas próbował dobudzić dzielnego pogromcę potworów, ale w końcu musiał dać za wygraną. Poszturchiwanie, ani nawet solidne kuksańce nie przynosiły żadnego efektu. Wlażł, więc pod zwalony świerk i drżącym ze strachu szeptem wznosił modły o bezpieczne przebudzenie. Pohukiwała sowa, coś trzeszczało, coś piszczało, coś szumiało... Wreszcie zmęczenie wygrało z przerażeniem i Spytko usnął.

*

W nocy nikt, ani nic nie napadło wędrowców, jednak Richard van Sink miał na ten temat inne zdanie. Był przekonany, że padli ofiarą, jeśli nie miejscowych straszyleł, to zwykłych rzezimieszków. Okazało się, bowiem, że jego bukłak z miodem jest zupełnie pusty. Ta zniewaga wymagała krwi. Tyle, że nie bardzo było wiadomo, z kogo jej utoczyć. Nie było śladów, nie było potencjalnego sprawcy.

Spytko oglądał całą sytuację nieco z boku. Miał tajemniczą minę i nic nie mówił. Van Sink nabrał nawet podejrzeń, że to chłopiec zajął się jego półtorakiem, lecz podejrzany zdecydowanie, za dobrze się trzymał na nogach, nie wykazywał też żadnych innych objawów podwędzenia alkoholu.

Ostatecznie Richard ciężko przeboleł stratę, ale obiecał sobie, że jeszcze znajdzie winowajcę i srogo się zemści.

Ruszyli w dalszą drogę. Do przejścia pozostało ledwie kilka kilometrów, ale teren był coraz trudniejszy. Szli czymś, co nadgorliwy kartograf nazwał kiedyś drogą, choć nawet słowo rścieżkarl; wydawało się zbyt pochlebnym. Było wąsko i kręto. Co chwilę trzeba było pokonywać krzaki lub przeskakiwać zwalone, próchniejące, albo zbutwiałe pnie. No i zrobiło się grząsko. Może nie było to bagno, ale błota było, co niemiara, miejscami stała woda, a gdzieniegdzie grunt poruszał się i ugiął.

- Wszędzie tu tyle wody?

- Wszędzie. Tu blisko morze i rzeka i jezoro i deszcz pada, toć musi się wylewać. - Chłopiec odparł rezolutnie i wesoło przeskoczył nieco większą kałużę.

- To może nie macie wilkołaka, tylko jakiegoś wodnika, topielca albo rusałkę?

- Eee. Takie, to częstô bywają, aleć sobie radzim. Ten, to człowiekwółk. Na pewno.

Ścieżka łagodnie skręciła w lewo, w stronę lasu. Jeszcze trochę i znaleźli się w przyjemnym chłodnym cieniu. Tu było nieco suszej, za to pojawiła się plaga komarów. Całe chmary krwiopijców, wygłodniałych i złośliwych. Wstrętne, złowieszcze bzyczenie nie ustępowało ani na chwilę, a oganianie się tylko rozsierdzało małe bestie. Richard van Sink, mimo, że z wieloma stworami już walczył, że przeżył całe mnóstwo niebezpiecznych przygód, teraz był bezradny. Rzucił się, podbiegał, przystawał, chował się za i pod krzakami, wymachiwał rękami, a i tak z każdą chwilą był coraz bardziej pokąsany i coraz bardziej zły.

Do arsenału broni antyowadziej miał już dołączyć wściekle i rozpaczliwe okrzyki, ale Spytko go powstrzymał:

- Cii. Tu blisko diabelski kam. Teraz dzień, ale jak purtk się rozniewa, to i pod słońcem nas napadnie. Nie trza krzyczeć.

Van Sink, na słowo rpurtkr1;, już prawie się śmiał, ale coś mu podpowiadało, że w tej okolicy nie powinien. Omszałe drzewa, wielkie pajęczyny, kępy trzciny i ta dziwna cisza... Nawet wielki bohater czuł się niepewnie.

- Chodźmy szybciej. - Ponaglił Spytkę.

*

Z pomiędzy drzew wyszli na rozległą, oczywiście solidnie podmokłą łąkę. Mimo wilgoci, komarów było tu znacznie mniej, za to ich miejsce zajęły gzy. Te cięły jeszcze boleśniej...

Richard van Sink przeklinał w duchu i nie tylko w duchu wszelkie latające robactwo. Przeklinał tego, kto

wymyślił ścieżkę, na której do kostek grzęzło się w błocie i przeklinał wilkołaka, który do zamieszkania wybrał sobie tak paskudną okolicę.

Ponad wysoką trawą zamajaczyła najpierw smużka dymu, potem dachy długich chałup.

- To twoja wieś?

- Nie, to cęzy.

- Cęzy? Obcy?

- Jo, obcy. To Olendry. Dziwaki, innowierce. Trzymają się sami ze sobą, gadają dziwnie, gęby do nas nie otwierają, w ziemi kopią...

- Rowy? Pewnie melioracyjne?

- Melio... co?

- Melioracyjne. Takie do osuszania bagna. Ale chyba nie bardzo im idzie? - Van Sink wymownie spojrzał w dół, na nogi utaplane w błocie.

- A, do suszenia. To jakoś tam im idzie. Zeszłego lata woda tu była po kolana, teraz ledwie kostek sięga. Ale oni i tak dziwni. Może i człowiekwółk, to od nich przyłazi?

- Nie wiadomo. Tego mi się dopiero dowiedzieć przyjdzie. Spyta, może coś wiedzą.

- Nie. Nie dogadacie się z nimi. Oni tylko po swojemu. Mówiłem, to Olendry.

- Ja też jestem Holendrem. - Van Sink uśmiechnął się wesoło, patrząc na zdziwioną i trochę przestraszoną minę Spytki. - Zdziwiony? Przecież van Sink, to nie nazwisko kaszubskie, nie pruskie, no i nie polskie.

- Tutejszy pan, nazywa się von Krockow...

- Von, a nie van. - Richard śmiał się coraz bardziej.

- Przeca matka przełożona mówiła, żeście z Helu?

- Tak na mnie wołają. Richard van Sink z Helu. Mam posiadłości na półwyspie, ale jestem Holendrem. Rodzonym w Rotterdamie, matula ze słynnego rodu Feyenoord była, choć pewnie niczego ci to nie powie.

- Jaaa. - Spytce nic to rzeczywiście nie mówiło, co nie zmieniało faktu, że był pod silnym wrażeniem. I nie było to wrażenie pozytywne. We wsi na pewno nie ucieszą się, że sprowadził obcego, a już zwłaszcza, kiedy to będzie któryś z tych dziwaków Olendrów. - A możecie panie nie mówić, żeśta Olender?

- Mogę. - Van Sink wykazał się zrozumieniem, jeszcze raz się uśmiechnął i pogłaskał chłopca po głowie.

*

- Hallo, is iemand er? - Richard kilkakrotnie powtórzył zawołanie, ale nikt mu nie odpowiedział. Wieś wydawała się pusta. Domy pozamykane, okiennice zatrzaśnięte. Jednak dym z komina leciał, a w szparze pod jednymi z drzwi, wyraźnie poruszył się czyjś cień.

Bohater i chłopiec stali spokojnie, obserwowali i nasłuchiwali. Nikt się nie odezwał. Nikt do nich nie wyszedł. Może strach budził muszkiet Richarda, może pistolety i szablę? A może tubylcy z założenia nie chcieli kontaktu z obcymi.

- Mówiłem, że to dziwaki. Nawet swojego nie witają.

- Nic to. Chodźmy. - Van Sink poklepał chłopca po ramieniu. - Może to i Holendrzy, ale poza tym, oni są jakiegoś dziwnego wyznania. Mormoni, albo mennonici. Pies ich trącał. Daleko jeszcze?

- Nie panie. Już niedalek.

Robiło się coraz cieplej, coraz parniej, a wszędobylskie gzy były coraz dokuczliwsze. Namaszczony przez Kościół łowca potworów oddałby wszystko, łącznie ze swym cennym uzbrojeniem za kufel piwa w chłodnej karczmie, w której nie ma much. Jednak nikt nie zaproponował wymiany. Ani Bóg, ani diabeł. Pozostały tylko marzenia, które pozwalały bezmyślnie stawiać kolejne kroki w grząskiej mazi. Rzeczywistość była brutalna i nie chciała się dostosować do wyobraźni. Błoto lub w najlepszym razie woda, chlapały na ubranie, nawet na twarz. Gzy cięły boleśnie, a słońce grzało.

Usłyszeli szczekanie psa.

- To Stolem, scyrrz zielarki.
- Poznajesz go po szczekaniu?
- Nie panie. Innego u nas już nie ma. Wszystkie człowiekwółk zeżał.
- Jednego zostawił? - Van Sink przestał się dziwić, gdy przeszli obok niskiej, krytej mchem chatki. Szczekające, warczące, kudłate coś rzucało się na łańcuchu i okazało się potworem, z którym nawet wilkołak musiał się liczyć.

Stolem ujał okropnie. Z pewnością podniósł alarm na całą wieś. Richard nie był tym faktem zachwycony, ale nie zamierzał robić tragedii. Trudno się mówi. Wcześniej myślał, że dogada się z rodzicami chłopca i pozostanie w ukryciu przed pozostałymi mieszkańcami. To zwiększyłoby szanse na zaskoczenie wilkołaka. Ale cóż... Trzeba się dostosować do sytuacji, jeśli nie ma się na nią wpływu. Komitet powitalny już czekał.

Ludzi było około dwudziestu. Nie bardzo wysocy, ale silnej budowy, wąsaci i na wszelki wypadek zaopatrzeni w widły i siekiery. Patrzyli spode łbów i czekali, aż bohater zbliży się na tyle, by już nie mógł uciec. Na widok Spytki wrogie twarze jakby odrobinę złagodniały.

- Czego tu? Spytko, gzubie, po coś cudaka przyprowadził?
- On człowiekwółka ubije, jo?
- Ot bredzisz mōli szōtorniku! Już cię rzniątka będzie! Czekaj no smōrkōla!
- W klasztorze żem go znalazł. Dla siostrzyczek świętych nielōpa ustrzelił, tom pomyślał, że i nam pomoże... - Spytko zgrabnie próbował ratować skórę na swoim tyłku.
- Ot, gzub głēpi... Ty poszedł się modlić, czy jachcōrza szukać? Czekaj no ty... - Jeden z mężczyzn, zapewne ojciec małego wyrwał do przodu, jednocześnie usiłując wyciągnąć ramię ze spodni. Spytko nie czekał na rozwój sytuacji i dał nogę.

Richard został sam, a że miny miejscowych znów zrobiły się mało gościnne, poczuł lekki dyskomfort. Odruchowo opuścił jedną dłoń w kierunku szabli, drugą oparł na rękojeści pistoletu. Gest wielce wymowny i co ważniejsze skuteczny.

Widły, jakby speszzone opuściły się ku ziemi, siekiery wstydliwie schowały się za plecami właścicieli.

- Eee - Elokwentnie wypowiedział się ojciec Spytki. - Panie, szmat drogi przeszliś. Cóż was sprowadza do naszej biednej wioski?
- Dzieciak mówił, że wilkołak was gnēbi, tom przyszedł ubić maszkarę. - Van Sink czuł się już zupełnie pewnie.
- Jo, człowiekwółk... Przeca to jeno człowiekwółczek. Co tam, scyrrzy kilka zeżał, kluki, jedną buczkę i starą bartnikową. Żałować nie ma czego.
- A jak dziś w nocy was ubije?
- Oj, panie, my drzwi i okiennice na skoble zamykamy, zwierzaki w stodółkach. Niech se bestia wyje i łązi pod oknami, jak chce. Toć i bezpieczniej, bo kradzēlc żaden nie podlizie, jo?
- Jo, jo panie jachcōrz. - Gorliwie podchwycili pozostali chłopci, chaotycznie potakując głowami.
- Ludzie, głupoty prawicie. Toć to stwór przekłēty. Ja w służbie u matki przełożonej jestem. Obowiązkiem mi pomiot piekielny zakatrupić i do klasztoru zawieźć, co by go wodą święconą pokropić, egzorcyzmy odprawić i spalić ścierwo, żeby z martwych więcej nie powstało.
- Oj panie... - Ojciec Spytki oddał siekiere sąsiadowi i podszedł do młodego bohatera. - A nie można tak wymodlić, żeby człowiekwółk jeno nas ostawił w pokoju i do Holendrów polazł? To dziwaki, innowierce. Bogu miłym będzie, jak im bydle w żyć się wgryzie, jo? Potośmy gzuła do klasztoru posłali. Skąd my wiedzieć mieli, że on głupot narobi. Tyłek mu spiorę, że i trzy niedziele na nim nie usiądzie.
- A to po bożemu piekielnego sługę na sąsiadów posyłać, choćby i inną wiarą wyznawali?
- Panie... - Głos chłopca powoli się załamywał i przechodził w lament. - Toć rzecz jeszcze jedną powim. Dokuczliwy ten człowiekwółk może i jest, aleć krzywdy dużej nam nie zrobił. A skąd się człowiekwółki biorą, toć jasne. Przeca w dzień może to być człek ũtcēwi i bez winy żadnej, jo? Skąd wiedzieć mamy,

czy to nie z nas który. Zabijeta człowiekwółka, to na wieś żałoba spadnie. Prosim ja was, przyjmijta przeprosiny, na posiłek dajta się prosić, na nocleg, a potem wracajta do matki przełożonej.

*

Gorąca, młodzieńcza krew buzowała chęcią działania, ale bohater potrzebuje przede wszystkim rozsądku, więc Richard van Sink opanował się. Uzgodnił z chłopami, że postara się wyprosić u zakonnic egzorcyzmy dla całej wsi, by klątwę zdjąć, bez konieczności zabijania potwora. Osobiście nie bardzo wierzył w skuteczność takiego działania, ale kto wie? Może moc żarnowieckich benedyktynek jest większa, niż można by się tego spodziewać.

Na razie pokojowo ustalono, że mały Spytko dostanie tylko połowę obiecanego lania, a Richard odejdzie o świcie. Do tego czasu miał być we wsi gościem.

Ojciec Spytki - Maciej uznał, że skoro syn narozrabiał, to jego obowiązkiem jest przyjąć dzielnego młodzieńca, który było, nie było, przybył im na ratunek. Wolne łóżko w chacie było, a i jedzenia nie brakowało, więc nic nie stanowiło problemu.

Richard, już bez nerwów wkroczył do wsi, która choć nie miała oficjalnej nazwy, przez tutejszych zwana była Kalëga. Nazwa, choć mało oryginalna świetnie oddawała klimat najbliższych okolic. Wszystkie domy wybudowano wzdłuż drogi, która tu była nieco szersza, natomiast zaraz za ogrodzeniami zaczynała się podmokła łąka.

Chałupa Macieja nie odróżniała się szczególnie od pozostałych, ot, może tylko tyle, że na jej dachu znajdowało się spore, bocianie gniazdo.

*

Zasiedli przy prostym, sosnowym stole. U szczytu Maciej, chłop krępy, o lekko odstających uszach i dość wysokim, płaskawym czole. Po prawej miał żonę Jadżkę - małomówną i bez odpowiedniej ilości alkoholu, nie pozwalającą się zaliczyć do pięknych - i córkę Baśkę. Córka była dokładnym przeciwieństwem matki, a i z ojcem wydawała się mieć niewiele wspólnego, co skutkowało tym, że Richard van Sink nie mógł odlepić wzroku od jej słodkiego uśmiechu, błękitnych oczu, złotych włosów i od całej reszty, która skrywała się pod lnianą bluzką i kwiecistą spódnicą. Bohater i mały Spytko - nie bardzo mogący siedzieć - zajęli miejsca po lewej ręce gospodarza.

Zagryzając wędzonego węgorza Richard usiłował zagaić jakąś rozmowę, ale ta zupełnie się nie kleiła. Dopiero, gdy mimochodem wspomniał o Gdańsku...

- Gduńsk? Bywaliście panie w Gduńsku, jo? - Baśka zatrzepotała rękami. Wściekły wzrok matki zupełnie na nią nie podział. - I na jarmarku bywaliście, i na okrętach, i na balach?

- Bywałem. - Van Sink uśmiechnął się wesoło, a jego oczy błysnęły figlarnie. Tym figlarniej, że przy nagłym wybuchu zainteresowania, piękna dziewczyna poruszyła się gwałtownie, a jej bluzeczka troszkę się rozchyliła...

- Ależ tam musi być pięknie. - Rozmarzyła się Baśka. - Te domy, te kościoły... Był u nas kiedyś wanożnik, co z Gduńska wracał. Opowiadał cudownie, a i trzewiki mi zostawił i pôcorë...

- Baśka!!! - Maciejowa szcęknęła jak ogromny i bardzo zły brytan. - Zeżarła? To już ze stołu pozbieraj i tobakę przynieś, a nie językiem po próżnicy mielesz!

Dziewczyna zrobiła buzię w ciup, jej błękitne oczy zaszyły łzami, wiele ją kosztowało, żeby się nie rozplakać, ale w końcu posłuchała matki. Mimo to przechodząc obok Richarda nie powstrzymała się, żeby porozumiewawczo, lekko go nie szturchnąć i nie puścić mu oczka. Na więcej sobie jednak nie pozwoliła.

Niezręczna cisza panowałaby bardzo długo, gdyby nie kolejne pytanie bohatera:

- Gospodarzu, a daleko stąd do morza? Gorąco dziś, popływałbym chętnie.

- Iii, niedalek. Dziś mörze spokojne, to i cisza, ale jak dënëga jest, to szum, albo i ryk tu we wsi słyhać, jakby za rogiem już woda była. Będzie ze dwa pacierze. Chyba, że drogi się nié zna i w dąple wlezie, to i długo być może, a jak człek pechowy, to już nigdy nie dolizie...

- A prosta ta droga? Trafie?
- Spytko pokaże. Przyciągnął bēlnego pana, to niech się nim tera zajmuje.
- Jo, ja poprowadzę! - Chłopiec wydarł się radośnie. Najwyraźniej narzucony obowiązek bardzo przypadł mu do gustu.
- Poczęstujecie się panie tobaką? - Baśka, nie wiedzieć, kiedy wzbogaciła swój ubiór o czerwone korale, zapewne te z Gdańska.
- Dziękuję, chętnie. - Richard zaciągnął się, po czym zdrowo kichnął.

*

Nad morze rzeczywiście nie było daleko. Droga oczywiście, jak wszystkie w okolicy ginęła w trzęsawisku, ale Spytko prowadził tak sprytnie, że faktycznie po dwóch pacierzach wyszli na plażę.

Pas żółtego, drobnego piasku był szeroki, a tafla wody za nim, nad wyraz spokojna.

Van Sink zrzucił z siebie broń, koszulę i buty. Piasek, nagrzwany od słońca parzył w stopy, ale woda była zimna. Richard poważnie zastanawiał się, czy nie odstąpić od pomysłu kąpieli, lecz Spytko przerwał te rozważania w dość brutalny sposób. Krzycząc w niebogłoso, wbiegł do wody rozchlapując ją przy okazji tak, że na nieustraszonym pogromcy potworów nie zostało suchej nitki.

Nie było już nic do stracenia, więc młody bohater nabrał powietrza i zanurkował w zimną, zielonkawą, lekko słoną otchłań. Orzeźwiający chłód rozkosznie obmył go z potu, przyniósł też ukojenie dla swędzących miejsc pokąsanych przez muchy i komary. Młodzieniec i chłopiec pływali i pluskali się zdecydowanie dłużej, niż było to potrzebne dla umycia się, czy ochłodzenia. Wreszcie wyszli na brzeg i położyli się na gorącym piasku.

- Mogę obejrzeć medalik? - Spytko wskazał zawieszony na szyi Richarda prezent od matki przełożonej żarnowieckiego klasztoru.

- Proszę. - Van Sink zdjął ozdobę i podał chłopcu.

- Ale ładny. Powiem coś panie, ale nie mówta starszim...

- Nie powiem.

- Zbieram takie medaliki. Mam już szesc. W wiosce pokażę, tylko pan pamięta, to kręjamnica!

- Nie ma sprawy, będę milczał.

- Bo starsi by mi zabrali i jeszcze bym rzniętka dostał... A takiego, to jeszcze nie mam...

- Może kiedyś będziesz miał. To od sióstr z Żarnowca. Jak zasłużysz, to i ty możesz taki dostać.

*

Przed samą wioską Spytko konspiracyjnie położył palec na ustach, po czym złapał Richarda za rękę i pociągnął w krzaki. Tam zanurkował w gęstwinę leszczyny, by po chwili wrócić z małym zawiniątkiem.

- To moje medaliony. - Pochwalił się.

Van Sink za zdziwieniem przyjrzał się błyskotkom. Wcale nie były to tanie blaszki sprzedawane na odpustach. Pięć było srebrnych, jeden z całą pewnością ze złota. Widniały na nich krzyże, gryfy i herby. Na złotym wyrzeźbiono herb Gdańska. Jednak ten, który najbardziej zainteresował van Sinka, był duży, ciężki, srebrny i wyobrażał głowę wilka.

- Skąd to masz?

Spytko podejrzliwie spojrzał na bohatera i trochę niepewnie odpowiedział:

- Dostałem...

- Na pewno? Takich rzeczy nie daje się ot tak.

- Na pewno. Przechodził tu raz taki bōjorz. Dziwny był, straszny trochę, ale prezent mi dał, żem go przez dāple przeprowadził.

- Ukradłeś mu? - Van Sink przybrał surowy ton, ale Spytko szedł w zaparte.

- Nié ukradłem panie. Ja nié kradnę. Tatki by mnie tak zbił, że łojej.

- Hmm. Ten wisior jest bardzo stary i faktycznie należał do wojownika. Takiego, co walczy z potworami, co chroni ludzi. To wyjątkowy medalion. Daj mi go chłopcze. Przyda mi się podczas mych licznych

potyczek z pomiotami piekielnymi.

- Nie dam. To mój i wcalem go nie ukradł!

- Więc się zamieńmy. Wezmiesz mój, a ja twój. Może być?

- No nie wiem...

- Chłopcze!!! - Van Sink trochę się zirytował. - Bo porozmawiam z twoim ojcem...

- No dobrze, już dobrze. Zamieńmy się. - Spytka nie był pewien, czy powinien się cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

*

- Pipe? - Maciej trochę już przyzwyczał się do gościa, więc starał się być grzeczny.

- Że co... to jest, słucham? - Van Sink zrobił głupią minę, na którą patrząc, gospodarz uczynił niewiele mądrzejszą.

- Pipe? - Kaszub powtórzył, tym razem bardzo wolno, jakby z namysłem. Wyraz twarzy van Sinka nie zmienił się, no może tylko tyle, że oczy zrobiły się bardziej maślane. Choć młody bohater nie bardzo był przekonany, co, jak i dlaczego, to wyobraźnią już widział piękną Baśkę roztaczającą przed nim swe wdzięki... wrrr... rA jeśli chodzi o starą Jadźkę??!!r1;

- Paliliście kiedyś pipe? - Maciej z niepewnością obserwował jak Richard wpierw błędnie, by wreszcie z oznakami zrozumienia i uśmiechem powrócić do normalnego koloru.

- Aaa, taką pipe... Chętnie.

Obaj usiedli wygodnie przed chałupą i zakurzyli fajki. Żeby tą sielankę jeszcze nieco umilić, Maciej posłał Spytkę po gąsiorek. W przyniesionym rychło naczyniu był mętny, białawy płyn, który miał tę cudowną właściwość, że już na sam jego widok oblicza rozpromieniały się uśmiechem.

Kilka pacierzy później było już jasne, że Maciej i Richard van Sink z Helu się polubili. Było też jasne, że tego dnia Maciej nie naprawi dachu, koła w wozie, ułamanej nogi krzesła, ani w ogóle niczego...

- Wyleję ten cholerny bimber! - Zrzędziła dość wrednie Jadźka. - Jak Stasiek jeszcze raz tu z nim przylezie, to cizjami obiję!

- Cëchò stara, gosc jest!

- Gosc, jak gosc. Taki jak i ty moczymorda!

- Cëchò, bo jak w łep zdzielę...

Jadźka potwornie się oburzyła, nadęła, ale, tak na wszelki wypadek zamknęła się w chałupie. Maciej nie przejął się jej humorami. Gdy tylko zapanowała cisza uznał, że można pić dalej. Wspólnie z Richardem skwapliwie z tego skorzystali.

Gdy niebo zaczęło szarzeć, gąsiorek, choć nie mały, okazał się pusty. Rozochoceni biesiadnicy zauważyli to dopiero po kilku łykach rna suchor1;. Ich zdziwienie było niepomierne, za to proporcjonalne do żalu.

- Nie ma? - Maciej zmarszczył swoje wysokie czoło.

- Nie ma. - Potwierdził smutno van Sink, a Maciejowi wniosek nasunął się sam.

- Ktoś ukradł!!!

- Ha! Wczoraj mnie ktoś ukradł półtoraka!!! To pewno ta sama jucha!

- To psie syny! To musi te Olendry! Parszywce!

- To złodzieje! Łapy poużynam!

- I głowy, jo?

- I głowy!!!

Obaj jednocześnie zerwali się na nogi i choć trochę się zatoczyli, utrzymali pion. Richard van Sink sięgnął po szablę, a Maciej po siekierę.

- Odbierzemy, co nasze!

- Odbierzemy... czekaj panie. - Maciejowi coś zaświtało w głowie. - Co ukradli, to ukradli, aleć przeca nie pójdziem o suchym pysku. Na szczęście, cosik na czarną godzinę, żem sobie ostawił...

*

Księżyc był już po pełni, ale wciąż dawał sporo światła, a jego srebrzysta jasność rozproszona w tumanach mgły snujących się nad grzęzawiskiem, tworzyła niesamowitą scenerię. Cienie rzadkich drzew wyglądały jak powyginane na wszystkie strony szpony. Pohukiwała sowa, rechotały żaby. Wilkołak, jeśli był w pobliżu nie mógł sobie wymarzyć lepszych warunków na polowanie.

- I raz!!! Dawaj bimber pogański synu! I jeszcze raz!!!

- Zostaw Maciej, to tylko drzewo. Rąbać Holendrów mieliśmy.

- Tu jeden za bómom się schował. Sam żem widział! I raz!

Zamaszyste ciosy siekiery spadały gdzie popadnie, także van Sink miał sporo szczęścia, iż przy okazji sam nie dostał po głowie.

- Zabij wszę i chodź dalej.

- I raz!!! - Głośnie rplumr1; ogłosiło światu, że stary Kaszub został pokonany przez grawitację. Richard pośpieszył mu z odsieczą, ale podnieść Macieja nie było łatwo. W efekcie obaj zaliczyli kolejne lądowanie w błocie.

- Spalimy im wieś!

- Spalimy!!! - Poderwali się i biegiem rzucili ku ciemnym bryłom zabudowań.

Rycząc jak poranione tury Maciej i Richard wypadli na środek rwrogiejr1; osady. Było cicho. Domy zamknięte, światła pogaszone.

- Juhuuu...

- A kuku holendreczki...

- Stary Maciej wam oberżnie główki siekiereczką...

- Hallo. Hallo? Is iemand er? Hallo...

Wciąż było cicho. Napastnicy łypali wokół żądnymi krwi oczyma, ale nie bardzo mieli pomysł, od czego rozpocząć rzeź domniemanych złodziei bimbru i miodu.

- Dobra Macieju, zaczekamy na nich. Pewnie poszli na grzyby.

- Wyrżniem ich jak wróć.

Usiedli opierając się plecami o studnię. Maciej pociągnął solidny łyk odłożonego na czarną godzinę bimbru, po czym podał gąsiorek Richardowi. Nie minął pacierz, a obaj spali chrapiąc, jak niedźwiedzie.

W nocną ciszę wdarło się długie, monotonne i złowróżbne wycie. W jednym z domów cicho uchyliły się drzwi. Czyjś cień wyjrzał na podwórze. Dało się słyszeć ostrożne kroki. Jakaś postać powoli zbliżyła się do studni...

*

Richard van Sink powoli, bardzo powoli otworzył oczy. Wredna dzienna jasność zaatakowała jego źrenice i szybkim, bezlitosnym impulsem wdarła się do mózgu, gdzie eksplodowała silnym, rwącym bólem.

- O rzesz... Najświętsza Panienko... - Bohater złapał się za głowę i ścisnął, jakby chcąc uratować ją przed rozpadnięciem się na części. Ból pulsował, ale na chwilę dało się go ujarzmić.

Richard podejrzliwie zlustrował otoczenie. Obok, wsparty o ścianę spał Maciej, zaś po przeciwnej stronie izby siedział ubrany na czarno mężczyzna z idiotycznie przyciętą brodą.

rKobold, krasnolud, dziad borowy?r1; - Niemrawo zastanawiał się van Sink, jeszcze bardziej niemrawo szukając szabli. rEee, to chyba człowiek, tylko przygłupi...r1;

Mężczyzna bacznie obserwował powracających do świata żywych nocnych wędrowców. Kiedy i Maciej się poruszył, a potem z przeciągłym jękiem otworzył oczy, brodacze wstał i podstawiał im miskę z wodą.

Van Sink ostrożnie, unikając gwałtownych gestów nabrał cieczy w ręce i obmył sobie twarz. Ulga była ogromna, choć niestety chwilowa. Maciej, choć z otwartymi oczami, wciąż był nieobecny duchem.

Młody bohater powoli przesunął się w stronę Kaszuba i poklepał go po policzku.

- Wstawaj Maciuś! Wstawaj. Żona w domu czeka, a myśmy, u jakich brodaczy pobłądzili.

Jakimś cudem obaj zdołali się podnieść. Brodaty mężczyzna nie odzywając się ani słowem, otworzył im

drzwi. Świeże powietrze przyniosło lekkie otrzeźwienie i kolejną falę bólu.

- Jezusicku, co tak szumi? - Jęknął Maciej, po czym poruszył brwiami wspomagając proces myślenia. Proces przebiegł pomyślnie, bo zmęczona twarz Kaszuba rozpromieniła się uśmiechem. - Mòrze! Rzeczywiście, z północy wyraźnie było słycać nieustający szum. Najwyraźniej woda była bardziej wzburzona, niż poprzedniego popołudnia, gdy Richard zażywał kąpieli.

Brodaty mężczyzna podał nocnym gościom siekierę, szablę i pusty gąsior.

- Wypiłeś? - Maciej łypnął na dziwnego człowieka spode łba, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Zamiast tego mężczyzna wręczył mu garniec ze zsiadłym mlekiem. Kaszub z nieukrywaną ulgą pociągnął kilka łyków, to samo zrobił van Sink. Myśl o zemście za kradzież alkoholu jakoś zesłała na dalszy plan. Brodacze bez słowa wskazali im kierunek.

*

Powrotna droga dłużyła się niemiłosiernie. Na szczęście było jeszcze wcześniej, więc nie było upału. Uporczywy wiatr, szum morza, no i ten diabelny ból głowy...

- Zajdźmy do zielarki. - Wymamrotał Maciej. - Te Olendry nie dość, że bimber wypłył, to jeszcze nas struły. Zielarka pomoże.

Przed chatą zielarki było cicho. Cicho było też wewnątrz, lecz Macieja to nie zniechęcało. Pchnął drzwi i razem z Richardem weszli do środka. Miejscowa uzdrowicielka, kobiecina w sile wieku, siwa i drobniutka, siedziała w kącie izby i nic nie mówiła. Wydawała się bardzo wystraszona, ale Maciej był na tyle przejęty swoimi dolegliwościami, że tego nie zauważył, zaś Richard nie miał powodu, by przypuszczać, że na co dzień staruszka zachowuje się inaczej.

- Witaj dobrodziejko! Poratujta sąsōda. Olendry nas struli, głowy nam pękają.

Kobieta kiwnięciem głowy odpowiedziała na przywitanie. Drżały jej ręce i broda, ale wstała i bez słowa sięgnęła po jakieś zioła. Podała je Maciejowi.

- O, Bóg zapłać.

Wyszli z chałupy i czym prędzej skierowali się do wsi. Zioła trzeba było zaparzyć, a im szybciej, tym lepiej, bowiem bolesny problem nie tylko nie ustępował, ale wciąż narastał.

*

- Gdzieżeś był stary durniu?! Jużem cię oplakała! - Jadźka na widok wchodzących w obejście mężczyzn, a ściślej swojego męża, wydarła się chyba najgłośniejszym krzykiem, jak umiała.

- Ciii. - Maciejowa twarz nieskrywanym cierpieniem wyraziła najwyższy poziom wrażliwości na krzyki. - Bylim u Olendrów, bo nam bimber ukradli.

- Wszyscy myśleli, że was człowiekwółk zeżarł...

- Eee, nieee. Jadźka, nie gadaj więcej, jeno zioła zaparz...

- Ty, stary wiesz, co się tu...

- Jadźka!!! - Pokonując ból Maciej zdobył się na podniesienie głosu. - Przymknij się i zioła daj. Potrzeba jest...

*

Richardowi i Maciejowi nie było dane zaznać spokoju. Na szczęście panaceum zaordynowane przez zielarkę okazało się na tyle skuteczne, że gdy dwa pacierze później ktoś załomotał do drzwi, ból w obu głowach już tylko ćmił.

Przed maciejową chatą zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy wsi. Gęby mieli wystraszone, ponure i niepewne.

- Czego? - Maciej nie wykazał się umiejętnością czytania w myślach.

- Macieju. - Odezwał się siwy starzec. - Trza twego gosca o pomoc prosić. Nie idzie inaczej, jo? Człowiekwółka mus ubić.

- Eee, przeca...

- Trza i już. Ciebie Macieju w noc nie było, a jinsztë znów przylazł. Stolema zielarki rozszarpał na

strzępy takie, że zbierać, co nie było. Potem po wsi całej szalał. Wył, ryczał, płoty rozwalał. Taki wściekły, to jeszcze nigdy nie był, jo? Na koniec Staškowi drzwi w drzazgi rozwalił i do izby się wtarabanił.

- Staškowi?

- Jo, Staškowi. Święć panie nad jego duszą.

- Bydle Staška zabiło? O Jezusicku, to, kto tera bimber pędzić będzie?

Odpowiedzi nie było. Zamiast niej wszyscy wymownie i błagalnie wlepili wzrok w szlachetne oblicze Richarda van Sinka.

- Ubijecie? - Maciej dołączył do swoich ziomków.

- Ubiję. - Richard powiedział to niemal uroczyście. Już prawie pogodził się z myślą, że tym razem nie będzie mógł wykazać się bohaterstwem, a tu proszę... Lepiej być nie mogło.

- To pewno, kto z Olendrów, psich synów! - Krzyknął ktoś z tłumu.

- Albo Jadźka. Nie raz się odgrażała, że z bimbrem skończy. - Mruknął znacznie ciszej Maciej i już normalnym głosem dodał. - Jak dacie radę człowiekwółkowi, to wieczną wdzięczność u nas będzieta mieli. Skarbów nie mamy, ale czym możemy, tym odplacim, a wy u nas zawsze jak w rodzinii przyjęci będzieta.

- Jak w klanie?

- Jo, jak w klanie.

*

Do zmierzchu zostało jeszcze sporo czasu, ale mieszkańcy wsi, zdjęci strachem, już teraz kończyli wszelkie prace i jeśli nie musieli, nie wychodzili z domów. Richard zamknął się w pustej stodółce, gdzie nikt mu nie przeszkadzał i w spokoju przygotowywał się na nocny pojedynek z wilkołakiem. Wyczyścił pistolety i muskiet, przygotował zapas srebrnych kul i wziął się za polerowanie szabli oraz noży. Nie była to zwykła biała broń, lecz arcydzieło sztuki płatnerskiej, przygotowane specjalnie do tego typu zadań. Wspaniała klinga z hiszpańskiej stali pokryta była kilkoma warstwami srebra, a na płazach wyryte były słowa egzorcyzmów. Przy wykuwaniu tych ostrz nie żałowano nie tylko potu i umiejętności, ale też modlitw i święconej wody.

- Panie, może pić chcecie? - Baška wślizgnęła się do stodoły nie wiadomo którędy i kiedy. Richard z uśmiechem przyjął od niej dzban. Kogoś innego przegoniłby od razu, ale jej nawet nie upomniał za naruszanie spokoju.

- Dziękuję. Matka nie będzie zła, że tu panienska przyszła?

- Zamknęła mnie w izdebce i myśli, że tam siedzę. Ale tam... Jestem już duża... - Posłała van Sinkowi takie spojrzenie, że od razu zrobiło mu się gorąco. Zlustrował ją uważnie. No tak, z pewnością nie była małą dziewczynką. Właściwie, to była zupełnie dorosła... Założyła śnieżnobiałą bluzeczkę, prosty, czarny gorsecik zdobiony kwiatowym haftem, spódnicę, również w kwiaty, czerwone korale i także trzewiki. Pewnie te, co je przywiózł ten z Gdańska... Wyglądała pięknie, świeżo, odświeżnie i ponętnie. Ależ była urodziwa. Zaiste, aż trudno uwierzyć, że kwiat tak niespotykanej urody zakwitł w tej zapomnianej przez Boga, bagnistej okolicy.

- Wieleście już jinsztęch ubili?

- Trochę... i owszem.

- A człowiekwółka?

- Ze dwa nawet. - Richard w uśmiechu dumnie wyszczerzył zęby.

- A jak ten was zeżre? Szkoda by było. Taki przystojny młodzieńc. Tyle dziewczek by płakało...

- A ty byś płakała?

- Ja?... - Baška pokraśniała i wstydliwie załopotowała rzęsami. - Jo, płakałabym...

- Nie martw się. Jeszcze się taka bestia nie narodziła, co by van Sinka z Helu przechytryła.

- Oj, panie... - Ostrożnie pogłaskała wierzch jego dłoni. - Nié wy pierwsi tak mówicie.

- Nie? - Młody bohater szczerze się zdziwił. - Byli tu już inni?

- Bywali, bywali. Młodszy i starsi, szlachcice i kapłani. Jeden, to nawet biesiarz był. Wszystkich człowiekwólk ubił.

- Hmm... - Richard poczuł się jakby niepewnie, ale przy dziewczynie nie wypadało tego okazywać. - Mnie nie ubije. Ciekawe jeno, czemu nikt wcześniej nie wspomniał, że już na wilkołaka polowano?

- Pierwej, bo myśleli, że waś sobie pójdiesz. Potem, bo nie chcieli, byś się wystraszył. Będę się modlić za waćpana.

- To dla mnie zaszczyt. - Teraz on ją pogłaskał, lecz znacznie śmieiej, po policzku. Bohaterowi nie przystoją przecież gesty nazbyt tkliwe, czy niepewne...

- I tego, co mi pôcorë i trzewiki dał, też rozszarpało. A miał mnie do Gduńska zabrać, świat pokazać...

- Ja cię zabiorę. - Van Sink palnął zupełnie bez zastanawiania, ale nie pożałował, bo Baśka odwdzieczyła się najpiękniejszym uśmiechem, jaki w życiu widział.

- Starszy się nie zgodzą.

- Poproszę o twoją rękę, wilkołaka im do nóg rzucę i worek złota jeszcze, to i się zgodzą. A jak nie, to cię porwę.

Baśka już nie odpowiedziała. Rzuciła się Richardowi na szyję i zaczęła go obcałowywać...

*

- Ucieknijmy teraz! - Żdźbła słomy uroczym sterczały jej z pomiędzy włosów.

- Teraz?

- Jo, teraz. Co tam człowiekwólk. Ucieknijmy. Do rena nikt z chałupy nosa nie wychyli, to i się nie zorientują, a gdy słońce wzejdzie, będziemy już daleko.

- Eee... Nie można tak. Przeca obiecałem... Parol kawalera rzecz święta.

- To mnie obiecay, co innego. - Baśka była coraz bardziej natarczywa. - Posłuchaj panie. Człowiekwólk zawsze zabijał przybyszy już pierwszej nocy. Was też szukał. Nie znalazł, więc z wściekłości zabił scyrza zielarki i Staśka bimbrownika. Ale wy panie, jużście go przechytrzyli. Jużście raz z nim wygrali. Po co znów los kusić?

- Nie. - Van Sink, choć go korciło, a i logiczna argumentacja do niego docierała, postanowił dbać o swoją reputację szlachetnego bohatera. - Ubiję potwora i o Twoją rękę wtedy dopiero poproszę.

- Wtedy, to może ja już nie będę chciała! - Fukuła gniewnie dziewczyna, zabrała porozrzucane ubrania i uciekła, nim Richard zdążył zareagować.

*

Słońce zaszło. Wieś wydawała się wymarła. Nie było słychać żadnych odgłosów, w żadnym oknie nie paliło się światło. Richard van Sink z Helu otrząsnął się z wrażenia i ze zdziwienia po niezrozumiałej przygodzie z piękną Baśką. Ubrał się, na szyję założył medalion z głową wilka, za pas wetknął noże i pistolety, na plecy zarzucił muszkiet. Obnażone ostrze szabli trzymał w dłoni. Powoli otworzył drzwi stodołki i ostrożnie wyszedł na podwórze.

Cierpliwość nie była najmocniejszą stroną młodych, walecznych bohaterów. Także Richard nie grzeszył nadmiarem tej cechy. A tymczasem wilkołakowi wcale się nie spieszyło. Ściemniło się całkiem, a potwora nie tylko nie było widać, ale nawet nie było słychać dzikiego, powodującego dreszcze skowytu. Może widok zabójczego srebra i nieznanego strachu młodzieńca wystarczył, by bestia opuściła te okolice? Jeśli tak, to rano trzeba będzie sprawdzić, czy we wsi kogoś nie brakuje. Ten ktoś musiałby być właśnie tym potępionym. A jeśli będą wszyscy, to by znaczyło, że miejscowi mieli rację, iż klątwa dosięgła któregoś z Holendrów.

Van Sink, jak na swoje możliwości bardzo długo wytrzymał nieruchomo, oparty o jabłonkę. Potem zaczął się wiercić, jeszcze później wstał, by wreszcie nerwowo spacerować pomiędzy zabudowaniami. Nienawidził takiego czekania. Wolał iść wprost na niebezpieczeństwo, stanąć z nim twarzą w twarz i zadać zabójczy cios.

Księżyc schował się za chmurami. Ochłodziło się i siąpił deszcz. Z północy dochodził wyraźny, groźny i majestatyczny pomruk morza i poza szmerem liści, był to jedyny słyszalny odgłos. Milczały nocne ptaki, milczały świerszcze, milczały żaby. To była zła noc. Jakaś groźba wisiała w powietrzu zapowiadając straszliwe wydarzenia. Gromadziło się, narastało niewypowiedziane niebezpieczeństwo, nieznana moc i groźba. Zupełnie, jakby miał nadejść sam diabeł, czy purtk, jak wołali na niego miejscowi.

Medalion z wilczą głową nagle zawibrował. Drgania były nieprzyjemne, ale tylko dzięki nim van Sink nie padł na serce, gdy płonące żółcią, wściekła ślepia niespodziewanie rozjarzyły się kilka metrów przed nim. Stwór zwyciężyłby bez konieczności używania kłów i pazurów. Jednak, wisior spełnił swoją rolę. Richard odruchowo odskoczył i pokonując łomot we własnej klatce piersiowej złapał oddech.

Bestia nie atakowała. Straszliwe oczy obserwowały swojego wroga ze spokojem i pewnością siebie. Pozwoliły, by bohater otrząsnął się z pierwszego wrażenia. Wilkołak chciał czegoś więcej, niż tylko krwi. Chciał walki, chciał wielkiego zwycięstwa, chciał udowodnić ludzkiemu śmiałkowi, kto jest tu panem i władcą.

Van Sink nie czekał na zaproszenie. Krzyknął coś niezrozumiałego, coś, co brzmiało jak rFeyenoord kampioen!r1;, rzucił się do przodu, ciął szablą i od razu wykonał unik. Posrebrzana klinga świsnęła w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą świeciły jaskrawe źrenice. Przecięła powietrze i nic więcej. Wilkołak był już gdzie indziej. Uzbrojona w pazury łapa trzasnęła w jelec. Nie dosięgnęła dłoni bohatera, lecz siła ciosu była tak potężna, że wytracony oręż, furkocząc odleciał gdzieś w ciemność.

Van Sink z trudem uchylił się przed kolejnym ciosem. Teraz widział ciemną, kudłatą sylwetkę przeciwnika w pełnej okazałości. Potwór był tylko trochę wyższy od niego, ale znacznie bardziej muskularny. Łeb miał jak ceber, a w szczęce nienaturalnie długie kły kłapały i ociekały śliną.

Unik. Ledwo zdążył. Warcząca śmierć przemknęła mu tuż obok szyi. Wielkie cielsko zahaczyło go jednak i pchnęło swoim ciężarem. Poleciał w bok, jak szmaciana kukła, jednak teraz już nie tracił panowania nad sobą. Jeszcze nim gruchnął o ziemię, wyszarpnął jeden z pistoletów i prawie nie celując wypalił. Sam nie mógł w to uwierzyć, ale trafił. Nie wiedział na ile skutecznie, ale nie było wątpliwości, że srebrna kula odnalazła w mroku wilkołaka.

Stwór zaryczał z bólu i nieopanowanej wściekłości. Krwawe bryzgi spadły na twarz gramolącego się z ziemi Richarda. Trzeba było iść za ciosem. Zręczne wykręcenie ciała i muszkiet, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki przeniósł się z pleców wprost do dłoni. Jeszcze tylko naładować i strzelić... Była chwila. Wilkołak rycząc walczył z bólem, rzucał się w kółko, ale nie atakował. Wyrachowanie i zimna krew. Proch, kula, przybitka, wycior, cyngiel...

Van Sink podniósł broń, by wycelować. Potwór znalazł się dokładnie na wprost muszki, tyle, że cholernie blisko. Zdecydowanie za blisko...

Palec naparł na spust najszybciej jak się dało. Desperacko, byle tylko wyprzedzić zamachniętą kudłatą łapę. Mechanizm muszkietu działał jakoś strasznie wolno. W ogóle wszystko poruszało się ślamazarnie, leniwie, w zwolnionym tempie. Wszystko, poza łapą wilkołaka. Pazury skrzeszały iskry na lufie setne sekundy wcześniej, niż srebrny pocisk wyskoczył na spotkanie celu. Wystarczyło. Tym razem kostucha świsnęła kosą milimetry od użębitego łba.

Richard znów miał chwilę na reakcję, bo zwierz oszołomiony hukiem wystrzału odskoczył i zamarł, jakby niepewny, czy żyje, czy już nie. Bohater puścił muszkiet, rzucił się do przodu i zaatakował nożem. Mierzył od dołu, w brzuch bestii, tak, aby go rozpruć. Byli bardzo blisko siebie. Musiał trafić...

Ciemność...

Ciało van Sinka poszybowało kilka metrów w górę i spadło na ziemię. Młody wojownik z trudem łapał oddech. Jego palce zagięły się jak szpony i rozpaczliwie darły ziemię wokół. Coś uchwyciły. Coś ciepłego, dość miękkiego...

Ogon. Richard trzymał w ręce odstrzelony ogon wilkołaka. Nie wiedział, co o tym myśleć. Ot, przyjął do wiadomości, że tamten celny strzał przyniósł właśnie taki skutek. Zresztą, teraz bohater w ogóle miał

problem z myśleniem. Przy upadku trzasnęły mu żebra, coś w nodze, no i plecy bolały go jakoś tępo, mocno i dziwnie. Poza tymi plecami bólu nie czuł. Niewiele rozumiał, nie bardzo mógł się połapać, co się stało i co się dzieje, ale za to dobrze widział zbliżający się ciemny kształt.

Za pasem tkwił jeszcze jeden nóż i pistolet. Akurat jedno w dłoń lewą, drugie w prawą. Wilkołak podchodził powoli. Na tyle wolno, że van Sink mógłby spokojnie wycelować i strzelić. Jednak wciąż zwlekał. Leżał ciężko ranny. Miał bezwładne nogi, pewnie już na zawsze. Powiedzmy, że zabije wilkołaka i jeśli w ogóle sam przeżyje, to będzie mógł się tym chwalić innym sparaliżowanym nieszczęśnikom w jakimś przytułku, albo, co bardziej prawdopodobne, żebrakom na ulicy... W pistolecie była jedna kula, wcale nie musiała być dla potwora... Z drugiej strony, okazja na odejście jeszcze się trafi, a teraz można, choć uwolnić tą wieś od klątwy... Medalion na piersi wibrował, wręcz podskakiwał jak szalony. Van Sink wycelował pistolet prosto pomiędzy żółte ślepia...

*

Zapach krwi był jak narkotyk. Odurzał, przyciągał, pobudzał apetyt. Wilkołak zbliżał się do swojej ofiary. Zaspokoić żądzę, napić się ciepłej posoki, zemścić za potworny ból w ogonie... po ogonie. Już zwyciężył, teraz wystarczyło się tym zwycięstwem delektować. Stwór widział, jak jego ofiara miota się, jak bezradnie próbuje się ratować. Śmieszne. Ten człowieczek nawet zdołał wycelować pistolet... Skok, cios, kłapięcie zębami. Boski, ciepły, słodkawy smak...

*

Niebo na wschodzie było coraz jaśniejsze. Wielki stwór, ni to człowiek, ni wilk skończył nocną ucztę. Wstał, wyprostował się i czekał na pierwsze promienie słońca. Skóra zaczęła się deformować, nienaturalnie wykrzywiać, pochłaniać sierść. Kły wniknęły w dziąsła, oczy z żółtych stały się błękitne.

Gdy wielka, złota tarcza dziennej gwiazdy uniosła się nad błotnistą okolicę, nagusienka, jak ją Bóg stworzył Baśka rozejrzała się, czy nikt jej nie widzi. Rana na dole pleców nie była groźna. Przecież nikt jej pod spódnicę nie zajrzy, nikt nie będzie o nic pytał. Czym prędzej pobiegła za rodzinną chałupę, gdzie czekały ukryte ubrania. Musiała wrócić do swojej izby zanim zajrzą do niej rodzice. Głupio by było, gdyby po takim zwycięstwie nakryto ją w jakiś durny sposób...

*

Spytko wyleciał z chałupy jak poparzony. Biegł i rozpaczliwie rzucał na boki niepewne spojrzenia. Ślady krwi i zorana ziemia niewiele mu mówiły, ale wreszcie dojrzał ciało van Sinka. Serce chłopca waliło jak młot kowalski. Podbiegł, schylił się nad martwym bohaterem, który teraz już nie bardzo przypominał człowieka.

- Ty głępi Holendrze, ty... - Mruknął malec. - Dobrze, żeś nic tatce nie zdążył powiedzieć.

Drżące, małe palce z odrazą rozgarniały strzępy odzieży i mięsa. Wreszcie, w pustce pomiędzy żebrami Spytko znalazł to, czego szukał. Wyciągnął medalion z głową wilka i schował za pazuchę. Pognął za wieś i dołączył swój skarb do reszty kolekcji.

rJuż mam sétmër!; - ucieszył się w duchu. W najbliższej kałuży opłukał ręce z krwi i pędem wrócił do domu. Udało się. Nikt go nie widział.

*

Maciej bez słowa podszedł do grupy sąsiadów stojących na skraju wsi. Nie pytał. Domyślił się, na co patrzą, domyślił się, co się stało. Może przez ułamek sekundy miał nadzieję, że ujrzy truchło wilkołaka, ale sam chyba w to nie wierzył tak naprawdę. Chwilę przyglądał się ponurym obliczom ziomeków i trupowi van Sinka. On gościł śmiałka, teraz na nim spoczywał przykry obowiązek zakończenia całej historii. Wziął osikowy kołek i wepchnął między połamane żebra, tam, gdzie wcześniej biło pełne młodzieńczej waleczności serce. Serca już nie było, ale nie wiadomo, co by się stało bez tego kołka. Niby to nie wampir, ale lepiej nie ryzykować. Dość było kłopotu z jednym potworem.

Van Sinka pochowano w płytkim grobie pod lasem, na niewielkim wzgórzu. Maciej widać go polubił, bo sam wystarał się i postawił nieduży, brzozowy krzyż, taki sam, jak kilka innych stojących w pobliżu.

- Spytko!!! - Kaszub odwrócił się od mogiły i krzyknął do syna. - Leć do Żarnowca, proś siostrzyczki o modlitwę! I zobacz, czy jaki handlarz się nie kręci, może by dało się oręż naszego bohatera sprzedać? Za takie szabelkę, za pistole, strzelbę i noże, pewno sporo gorzałki by było...

III

Nad samotną tawerną błyszczał sierp księżyca. Las cicho szeptał, z oddali szumiało morze. Piękna, spokojna noc.

Deski ganku zaskrzypiały pod ciężkimi krokami. Zawieszony nad wejściem, kuty w stali szyld kołysał się lekko. rOd zmierzchu do świtu!;. Pchnięte drzwi otworzyły się dość ciężko, niemiłosiernie przy tym skrzypiąc. Ze środka uderzyły jasność, hałas i fala zapachów. Zabawa trwała w najlepsze. Muzyka, tańce, swawole, przekąski i alkohole. Dla spragnionych rozrywki, lub po prostu towarzystwa, nie było lepszego miejsca. Oczywiście, jeśli spełniało się pewne kryteria...

Na sporej tablicy wywieszono listy gończe. rPoszukiwany żywy, lub martwy. r!; Wielkimi literami dopisywano, o kogo chodzi: rŚwięty Jerzy - smokobójca, Szewczyk Dratewka - smokobójca, profesor Ambroncius - wampirobójca, Geralt z Rivii - liczne zbrodnie przeciw rodzajowi potworzemu, Richard van Sink z Helu - liczne zbrodnie przeciw rodzajowi potworzemu.r!;

Wilkołak, a raczej wilkołaczycza nie czytała dalej. Zerwała kartkę z ostatnim nazwiskiem i podeszła do baru.

- Piwa? Okowity? - Uroczą południca w szczerym uśmiechu odsłoniła nieco przydługie zęby.

- Potem. Jest Purtk?

- Jasne. Na zapleczu, za sceną.

Przedarcie się przez tłumek tańczących zajęło trochę czasu, ale w końcu się powiodło. Wilkołaczycza przeszła za plecami przygrywających na skrzypkach satyrów, ominęła śpiewającą rusałkę i brzdąkającego na basetli centaury. Na zapleczu było dużo spokojniej, za to niewiele było widać. Wszędzie unosił się siwy, aromatyczny fajkowy dym. Ślepią szczypały, nawet podchodziły łzami, ale nie wypadało się tym przejmować. Ot głupstwo, a mogłoby zszargać zasłużoną w bojach reputację.

- Płać! - Warknęła wilkołaczycza, jednocześnie rzucając na okrągły stolik zwinięty list gończy i spory woreczek.

Purtk przełknął słonego paluszka, popił piwem i dopiero zainteresował się petentką.

- Prawdziwe? - Rozwiązał woreczek i wydobył z wnętrza ludzkie serce.

- Jasne, że prawdziwe.

- Hmm. Zobaczymy... - Purtk odgryzł kawałek. Chwilę go żuł, wreszcie splunął i z uznaniem pokiwał rogatą głową. - Van Sink jak żywy. Trzeba było zamarynować, lepiej by smakowało.

- Sam se marynuj, albo najmij jakąś wiedźmę. Dawaj nagrodę... A i odszkodowanie za ogon.

- Że co???

- Ogon mi bydlak odstrzelił. Wypadek przy pracy, więc mi się należy odszkodowanie.

- Powoli, powoli. Szuwarek, dawaj kufer!!! I zawołaj Piękną Rossie!

- Jestem, nie trzeba wołać. - Skrzeczący głos dobiegł ze stolika obok. Po chwili zza dymnego obłoczka wyłoniła się makabryczna twarz strzygi. - Czego chcesz?

- Wpis do kronik będzie. Pójdiesz z Baską do baru, weźmiecie piwo, no niech tam, na mój koszt. Spiszesz, jak poległ okrutnik Richard van Sink z Helu. Tylko bez ubarwiania. Ma być rzetelnie, to kronika historyczna, a nie rSuper Faktr!;.... A chcieli już nam jakiegoś Daraculę przysyłać, niby, że sobie nie radzimy... Nie potrzebujemy innych bohaterów. Mamy swoich.

- Jeszcze może mam zaśpiewać? - Warknęła Rosie. - Na urlopie jestem.

- Wystąpię do Lucyfera o premię. Sprawa ważna, więc nie marudź. - Purtk był konkretny. - Szuwarek!!!

- Idę, idę... - Chlapiąc szlamem wodnik doczłapał się wreszcie i postawił przed szefem spory i diabelnie

ciężki, okuty złotem kuferek.

- Tu masz nagrodę. - Purtk skrupulatnie odliczył należną kwotę i wręczył wilkołaczycy. - A po odszkodowanie, to do ZUS-u.

LCF

10.2006

podręczny mini słowniczek kaszubsko - polski:

purtk - diabeł

bělny - szlachetny

jachcôrz - myśliwy

jo - tak (choć jest to doskonale uzupełnienie, lub nawet zastępstwo dla każdego zdania :D)

starszi - rodzice

jinsztë - potwór

przegrzecha - chochlik

nie - nie

mora - zmora

wieszczci - wampir

nielôp - upiór

krôsniâ - krasnolódek

wôłk - wilk

człowiekwôłk - wilkołak

szôtornik - łachmaniarz

gzub - łobuz

mòrze- morze

rzéka - rzeka

jezoro - jezioro

czëstô - często

kam - kamień

cëzy - obcy

niedalek - blisko

stolem - olbrzym

scyrz - pies

môli - mały

rzniątka - lanie

smôrkòla - smarkacz

glëpi - głupi

kluki - kwoki

buczka - świnia

kradzélc - złodziej

ùtcëwi - uczciwy

wies - wieś

kalëga - błoto

Gduńsk - Gdańsk

wanożnik - wędrowiec

pôcorë - korale

tobaka - tabaka
dēnēga - fala
dāple - bagno
szesc - sześć
krējarnica - tajemnica
bajorz - wojownik
tatk - tata
pipa - fajka
czij - kij
cēchò - cicho
gosc - gość
łep - łeb
bóma - drzewo
sąsôd - sąsiad
Bóg zapłac - dziękuję
młodzēnc - młodzieniec
do rena - do świtu
słūnce - słońce
sétmē - siedem
pistól - pistolet

podręczny mini słowniczek niderlandzko - polski:

Hallo, is iemand er? - Halo, jest tu ktoś?
Feyenoord kampioen! - Feyenoord mistrz!

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bury_wilk, dodano 01.12.2007 14:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.